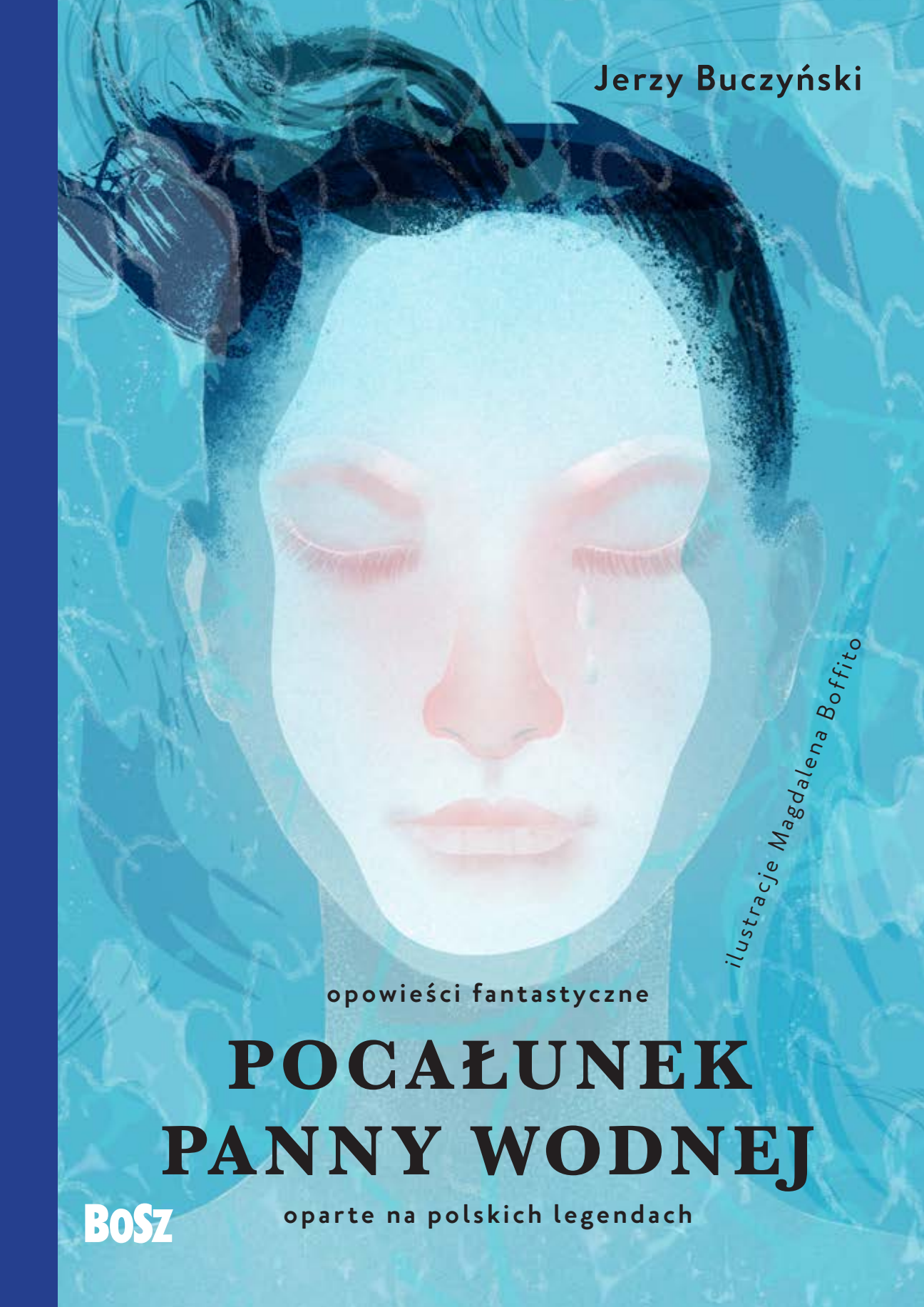




Jerzy Buczyński

ilustracje Magdalena Boffito

opowieści fantastyczne

POCAŁUNEK PANNY WODNEJ

BOSZ

oparte na polskich legendach

Jerzy Buczyński

POCAŁUNEK

opowieści fantastyczne

PANNY

oparte na polskich legendach

WODNEJ

ilustracje Magdalena Boffito

BoS

Wstęp	7
Zbrodnia i kara	10
Madejowe łożo	33
Dwaj bracia i tatarska księżniczka	57
Zbójeckie gniazdo	69
Tajemnica jeziora	86
Witalis, piękna Oksana i wiedźma Ksantypa	104
Zapadnięte zamczysko	114
W krainie Ducha Gór	128
Piękna Grzymisława i rycerz Blizbor	149
Klejnoty nieboszczki...	171
Egzekucja	180
Ali i wampir	189
Przebacz mi, Brunhildo	202
Latający mnich	217
Odwiedziny wilkołaka	230
Trąbka gra, umarlaki tańczą...	242
Łyskowski pan i jego pies	256
Zaginiony brat	275
Córka utopców	391
Łzy upiora	309
Pocałunek panny wodnej	322
Bibliografia	334

WSTĘP

W krajach Europy Zachodniej czy Skandynawii można zaobserwować wielką, niesłabnącą popularność podań i legend. W Wielkiej Brytanii pielęgnowane są mity o Rycerzach Okrągłego Stołu, w Niemczech nie zapomina się Pieśni o Nibelungach, zaś w Szwecji i Danii krążą sagi, w których mitologia przeplata się z historią.

A jak to wygląda u nas, w Polsce?

Z całą pewnością w tej dziedzinie nie pozostajemy w tyle. Mamy olbrzymi katalog barwnych, ciekawych, owianych aurą tajemniczości i niesamowitości legend, klechd i opowiadań. Pojawia się w nich cała galeria różnej maści upiórów, duchów, żywych trupów, zjaw snujących się po cmentarzach i innych nadprzyrodzonych istot. Bogactwo to powoduje, że powstaje coraz więcej publikacji zajmujących się tą tematyką.

W ów nurt demonologii i fantastyki wpisuje się również zbiór opowiadań *Pocałunek panny wodnej*. Kiedy przystępowałem do pracy nad tą książką, moim pragnieniem było pokazanie, że nasze strzygonie, utopce, zmory czy wilkołaki z powodzeniem mogą konkurować z wydumanymi, niesamowitymi stworami, występującymi na kartach powieści fantasy. Jeśli chodzi o wyobrażnię, nie ustępują im przecież w niczym, a ich rodzimy rodowód sprawia, że stają się dla nas bardziej intrygujące i jakby... realniejsze.

Bo czyż nie są bliższe naszemu sercu straszidła, będące bohaterami ludowych, polskich podań i gawęd. Czyż nie wolimy, zamiast o krwiożerczych, prymitywnych bestiach, siejących grozę w wymyślonych, odległych krainach, przeczytać sobie o topielcu mieszkającym niegdyś w pobliskim stawie, o kobiecie z naszej wioski, która po śmierci przeistaczała się w wampirzycę, zwaną strzygą czy też o romantycznym Duchu Gór, Liczyrzepie?

Nie wszystkie upiory i demony, pojawiające się w *Pocałunku panny wodnej*, są tak niebezpieczne, jak by się mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Okazuje się bowiem, że z pozoru groźne, niesamowite i budzące trwogę, mają też... serca i typowo ludzkie uczucia. Ich przerażający, pośmiertny kształt jest częstokroć pokutą za doczesne grzechy, narzuconą na nie przez siły wyższe. Ale w tych strzygoniach, utopcach czy wilkołakach wciąż jeszcze tlą się pełne żaru, całkiem ziemskie emocje. To one właśnie kierują zachowaniem owych straszliwych potworów, sprawiają, że demon jest gotów nieść ludziom pomoc, może zaprzyjaźnić się z człowiekiem, a nawet okazać mu... miłość.

W mojej książce są i inni, chciałoby się rzec, bardziej przyziemni bohaterowie. Mamy prawdziwe bestie w ludzkiej skórze, jak książę Popiel i jego krwiożercza żona Gerda. Jest niezwykle pomysłowy mnich, którego marzeniem było latać niczym ptak, są szlachetni czorszyńscy zbójnicy o gołębih sercach. Prosty podział na dobrych i złych nie jest tu więc wcale taki oczywisty!

Nasze polskie legendy i podania są wdzięcznym materiałem literackim. Różnorodne, pełne grozy, nasycone mroczną atmosferą tajemnicy, ulokowane w znajomej scenerii opowieści niezmiennie fascynują kolejne pokolenia odbiorców. Funkcjonujące pierwotnie w przekazywanych z dziada pradziada ustnych gawędach, z biegiem czasu trafiły na karty książek. Po tę atrakcyjną pod wieloma względami literaturę chętnie sięgają zwłaszcza młodzi czytelnicy. Ów baśniowy, magiczny świat wciąga, uruchamia wyobraźnię i na długo pozostaje w zakamarkach pamięci...

Jerzy Buczyński

BIBLIOGRAFIA

Bajkowy Zakątek – www.bajkowyzakatek.eu

B. Baranowski, *W kręgu upiórów i wilkołaków*, Łódź 1965.

K. Dobkiewiczowa, *Węzowa królewna. Baśnie i opowieści ze Śląska*, Katowice 1969.

J. Ligęza, *Bajki*, Katowice 1991.

J. Lompa, *Bajki i podania*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1965.

A. Łysko, *Duchy i duszki bojszowskie*, Bojszowy 1992.

G. Morcinek, *Przedziwne śląskie powiarki*, Warszawa 1971.

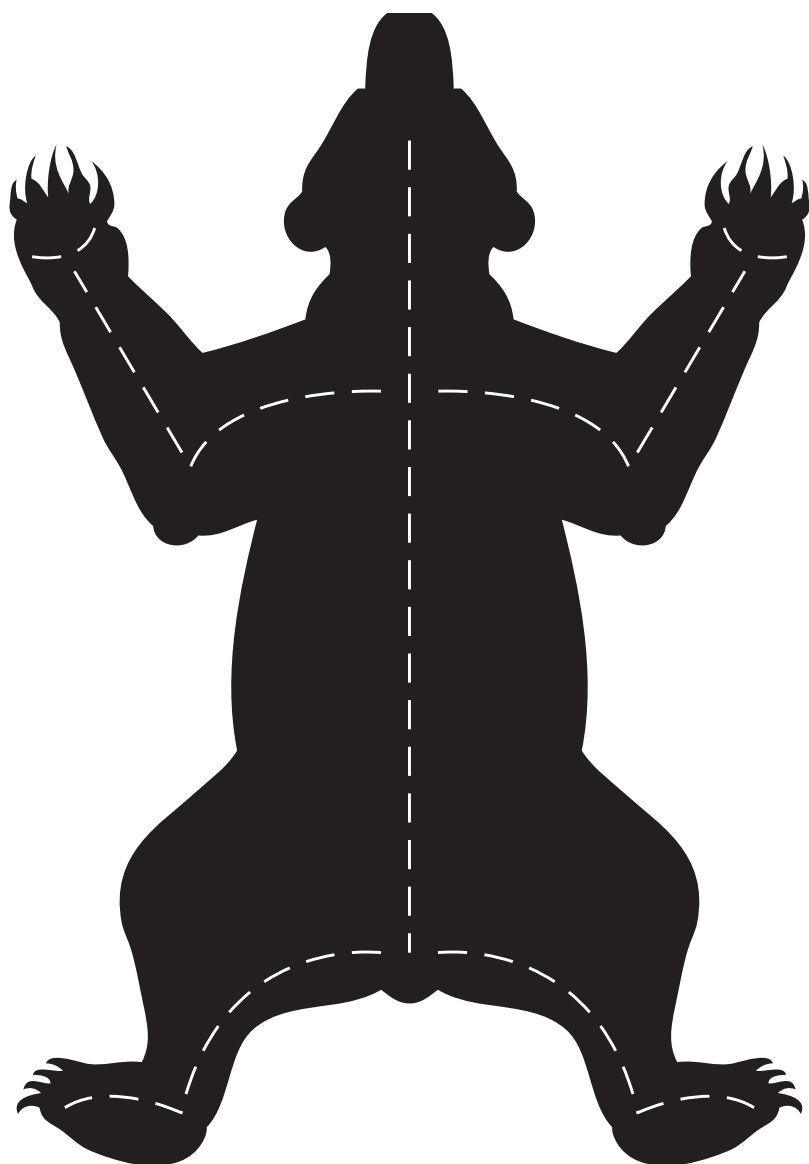
J. Ondrusz, *Cudowny chleb. Podania, baśnie i opowieści cieszyńskie*, Warszawa 1974.

A. i B. Podgórcy, *Mitologia Śląska, czyli przywiarki ślónskie*, Katowice 2011.

A. i B. Podgórcy, *Wielka księga demonów polskich. Leksykon i antologia demonologii ludowej*, Katowice 2006.

Skarb w garncu. Humor ludowy Słowian Zachodnich, red. Dorota Simonides, Opole 1988.

S. Świrko, *W krainie Gryfitów. Podania, legendy i baśnie Pomorza Zachodniego*, Poznań 1986.



ZBRODNIA I KARA

Na Pojezierzu Gnieźnieńskim rozlewa się potężne jezioro Gopło. Jezioro podobne do prawdziwego morza, albowiem jego długość wynosi ponad dwadzieścia kilometrów, a szerokość przekracza trzy. Z wód tego ogromnego rozlewiska wyłania się wyspa, na której wznosi się wysoka wieża. Od setek lat jest ona nazywana Mysią Wieżą. Dlaczego akurat Mysią? O tym opowiada prastara, mroczna legenda. Posłuchajmy...

Dawno, dawno temu, przed wiekami, na północnym brzegu jeziora Gopło znajdował się gród otoczony wyniosłymi drewnianymi wałami. Zwał się Kruszwica. Mieszkał w nim książę Popiel, panujący nad przyległymi krainami.

Niestety, Popiel zupełnie nie dbał o sprawy państwowe, a swoich poddanych traktował z wielkim lekceważeniem i pogardą. Wyzyskiwał ich i okrutnie karał, niezależnie od tego, czy czymś zawinili, czy nie. Często urządzał na zamku huczne uczty, w czasie których pił bez opamiętania, a potem hulał po nocach ze służebnymi dziewczkami, które bały mu się w czymkolwiek sprzeciwić. Z powodu jego niebywałego lenistwa, we wszystkich bowiem urzędowych sprawach wyręczał się swoimi dworzanami, ludzie nadali mu obraźliwe miano „Chwostek”. Książę wiedział o tym niechlubnym przezwisku. Wprawiało go ono w niepomowaną wściekłość. Groził, że jeśli dopadnie tych, którzy go nazywają Chwostkiem, łby im poucina, a ciała poćwiartuje i rzuci psom na pożarcie.

Popiel pojął za żonę niemiecką księżniczkę, piękną Gerdę. Jego poddani niezbyt życzliwie przyjęli Niemkę, która nie ukrywała, że wręcz śmiertelnie nienawidzi zarówno miejscowej ludności, jak i podległych Popielowi wielmożów i rycerzy, posiadających swoje grody i dwory w jego księstwie. Gerda była kobietą kłótniawą, chciwą i żądną władzy. Urodziła Popielowi dwóch synów, z których książę był niezmiernie dumny. Gdy chłopcy podrosli, zostali wysłani na naukę do Niemiec, na dwór dziadków, rodziców swojej matki.

Chwostek, chociaż był leniem patentowanym, w pewnej dziedzinie wykazywał wielką aktywność, mianowicie szalenie uwielbiał polować. W otaczających Kruszwicę lasach chętnie urządzał łowy, w których towarzyszyła mu jego żona. I tu trzeba uczciwie przyznać, że niemiecka księżniczka okazała się nie najgorszym myśliwym. Nieraz z jej ręki padły sarna czy dzik, udało jej się nawet ubić tura.

* * *

Pewnego wieczoru książę Popiel i Gerda przebywali w największej komnacie kruszwickiego zamku. On siedział na drewnianym, wyściełanym niedźwiedzią skórą krześle przed kominkiem, w którym płonęły grube szczapy, ona zaś leżała na wygodnej sofie z bocznymi oparciami, którą przywiozła ze sobą z Niemiec. Księżna trzymała w ręku owalne zwierciadło z podłużnym zdobionym uchwytem i z lubością podziwiała w lustrzanej tafli swoją twarz. A była to twarz niezwykle

piękna, gładka, z dużymi niebieskimi oczami i kształtnymi czerwonymi ustami. Poza bezsprzeczną urodą Gerda odznaczała się wspaniałymi jasnymi włosami, których gęste pukle opadały kaskadą na dumnie wyprostowane plecy. Mogła się też poszczycić zgrabną figurą, którą teraz podkreślała jasnofioletowa szata.

Popiel był mężczyzną średniego wzrostu, o krępej budowie ciała, znamionującej wielką siłę fizyczną. Miał owalną, nalaną twarz z czarnym wąsem pod bulwiastym nosem. Małe, zaczerwienione od pijaństwa oczka spozierały chytrze i złośliwie. Ciemne proste włosy, przycięte nad brwiami równą linią, sięgały mu do ramion. Ubrany był w ciemnobrązowy kubrak ściągnięty szerokim skórzanym pasem. W przytroczonej do pasa pochwie nosił myśliwski nóż.

Tego wieczoru małżonkowie milczeli, rozmyślając o swoich sprawach. Od czasu do czasu zerkali na siebie, leciutko się uśmiechając. Książę bardzo kochał Gerdę, ona zaś... cóż, ona kochała go nieco mniej. Dla niej liczyła się przede wszystkim władza. Władza i jeszcze raz władza...

W pewnym momencie zaskrzypiały głośno drzwi i do komnaty wsunął się służący, siedemnastoletni chłopiec. Gerda obrzuciła go błyszczącym spojrzeniem. On zaś nisko się skłonił i rzekł do Popiela:

– Książę, przyszedł łowczy Bramin i chce z wami rozmawiać.

Gerda podniosła się na sofie, a Popiel energicznie odwrócił się od kominka. Każde pojawienie się Bramina w zamku oznaczało, że szykują się nadzwyczajne łowy.

– Niech wejdzie! – rzucił Chwostek do młodzieńca, który szybko zniknął za drzwiami.

Do komnaty, tupiąc głośno nogami, wszedł chudy, wysoki osobnik o rudawej kędzierzawej czuprynie. Stanąwszy na środku pokoju, najpierw skinął głową księżnej, a potem złożył głębszy ukłon Popielowi.

– No, Braminie, z czym przychodzisz?! – zawołał kruszwicki władca.

– Panie, ośmieliłem się stanąć przed tobą, aby zawiadomić cię o czymś niezwykle! – zaczął podnieconym tonem łowczy.

– O czymś niezwykle? – powtórzyła zaciekawiona Gerda. – Więc mówże, mów prędzej!

– W tamtym rejonie puszczy – rzekł Bramin, machnąwszy ręką na północ od Kruszwicy – pojawił się niesamowity jelen. Takiego rogacza nigdy dotąd moje oczy nie oglądały! Jest przeogromny, ma niespotykane długie rogi, cały jest czarny, a do tego... do tego jego ślepia płoną straszliwym krwawym blaskiem!

– Braminie, co ty bredzisz?! – zawołał Popiel. – Wypileś chyba za dużo miodu i piwa! Czarny jelen z krwawymi ślepiami?! Toż to jakaś bajda!

– Książę, przysięgam, że prawdę rzekłem! – Łowczy silnie uderzył się pięścią w piersi. – Dzisiaj rano spotkałem się z tym rogaczem oko w oko na jednej

z leśnych drózek. Jeleń pojawił się znienacka. Myślałem, że już jest po mnie i ta olbrzymia bestia weźmie mnie na rogi, lecz nic takiego się nie stało. Jeleń łypnął tylko swoimi upiornymi ślepiami, straszliwie zachrapał i skoczył w gąszcz.

Bramin umilkł. Księżna szybko wstała z sofy.

– Ja wierzę łowczemu – zwróciła się do Chwostka. – I powiem więcej: musimy jak najprędzej na tego czarnego jelenia zapolować!

Popiel chwilę się namyślał, po czym odrzekł:

– Dobrze, moja Gerdo, jak sobie życzysz. Jeśli tylko ten nadzwyczajny rogacz przemierza ścieżki i gąszcze naszych lasów, będziemy go mieli! Braminie! – Popatrzył ostro na łowczego. – Jutro skoro świt ruszamy do puszczy. Ty, ja i księżna. Weźmiemy ze sobą dwa najlepsze psy.

– Może by zabrać więcej ludzi... – niepewnie zaproponował Bramin. – Ten jeleni wyglądał mi na niebezpiecznego potwora...

Chwostek gwałtownie wstał z krzesła i groźnie zmarszczył brwi.

– Rzekłem: ja, księżna i ty! – warknął. – Nikt więcej!

Wobec tak zdecydowanej odmowy łowczy zgiął się niemalże do pasa i czym prędzej opuścił komnatę.

* * *

Nazajutrz wczesnym rankiem szeroką leśną dróżkę przemierzało troje jeźdźców. Przy koniach biegły dwa psy gończe. Pierwszy na rosłym wierzchowcu maści kasztanowatej jechał łowczy Bramin. Tuż za nim podążał książę Popiel, dosiadający czarnego jak noc ogiera. Na końcu na śnieżnobiałej klaczy kłusowała jego żona Gerda.

Cała trójka odziana była w ciemnozielone myśliwskie stroje i kołpaki. Książę miał kilka oszczepów zatkniętych przy siodle, księżna przewiesiła przez ramię łuk i kołczan ze strzałami, łowczy zaś uzbrojony był w szeroki topór zasadzony za pasem i krótką dzidę, którą trzymał w ręku.

Po dość długim czasie, mając Bramina za przewodnika, dojechali do miejsca, gdzie łowczy spotkał się z czarnym jeleniem. Znaleźli się w rzadkim lesie, w którym wysokie drzewa stały od siebie w oddaleniu kilku metrów i nie miały prawie zupełnie podszycia. Panowała tu całkowita, można wręcz rzec: martwa cisza. Nie zaświergotał żaden ptak, nie słychać było tupotu czy stąpania dzikich zwierząt, a gałęzie drzew sterczały nieruchomo, nieporuszane nawet najłżejszym podmuchem wiatru.

– Ależ tu ponuro – zauważyła cicho Gerda.

– Zdaje mi się, jakbym był na jakimś cmentarzysku – mruknął Popiel.

Łowczy skręcił z dróżki i wjechali między grube, pomarszczone pnie. Naraz Bramin zatrzymał konia i wskazując na dwa rosnące obok siebie krzywe świerki, rzekł:

– Tam, między tymi drzewami stał ten czarny jeleni i patrzył na mnie krwawymi ślepiami.

– Ale teraz po tym twoim niesamowitym rogaczu nie ma ani śladu – zauważył z przekąsem Chwostek.

Ledwie wybrzmiał jego głos, gdy nagle jednocześnie oba psy gończe uniosły łby i zaczęły intensywnie węszyć.

– Zwietryły trop... – wyszeptał Bramin.

Nie mylił się.

Ogary zaszczeakały krótko, a potem ruszyły pełnym pędem naprzód. Nie przebiegły nawet dwudziestu metrów, kiedy zza grubego pnia starego, rozłożystego dębu powoli wychylił się... całkowicie czarny jeleni z niezmiernie długimi rogami. Purpurowo gorejącymi ślepiami zmierzył podążające w jego kierunku psy. Te raptownie wyhamowały, zatrzymując się niespełna cztery metry od olbrzymiego zwierza.

– To on... to on... – wymamrotał łowczy.

Popiel i Gerda zafascynowani wpatrywali się w jelenia. Rzeczywiście, tak potężnego okazu nie widzieli jeszcze na oczy.

Tymczasem czarny jeleni tkwił przez kilka sekund w bezruchu, po czym zacharował straszliwie, niczym jakiś leśny upiór, i długim susem skoczył w bok. Uciekał.

– Za nim! – wrzasnął Popiel i trzasnąwszy drzewcem włóczni po zadzie konia, ruszył w pogoń, a za nim księżna, Bramin i ogary.

Ogromny jeleni przemknął slalomem między drzewami i wypadł na ścieżkę. Pognał nią prosto przed siebie.

Chwilę później na leśną dróżkę wjechali też myśliwi. Niezwłocznie ruszyli w pościg za rogaczem. W tym miejscu dróżka biegła prosto jak strzelił. Uciekający jeleni miał nad ścigającymi go ludźmi zaledwie kilkanaście metrów przewagi. Natychmiast wykorzystał to Popiel, który wzięwszy zamach, z całej siły cisnął trzymanym w rękę oszczepem. Dzida furknęła w powietrzu i rozorała czarnemu jeleniowi prawą tylną nogę. Z rany trysnęła jasnoczerwona krew, a księżę wydał okrzyk triumfu.

Ogary, zawzięcie ujadając, wysforowały się przed myśliwych.

Ranny rogacz ciągle gnał pełną szybkością. Lecz, co było dziwne, nie próbował skoczyć w bok między grube pnie, tylko wciąż uciekał ścieżką. Psy, mimo że pędziły jak oszalałe, w żaden sposób nie mogły go dogonić.

Tymczasem łowczy Bramin, mający znacznie słabszego konia niż wierzchowce księcia i księżnej, zaczął zostawać w tyle.

Po kilku minutach ranny jeleni zwolnił jednak tempo. Ogary, a za nimi Popiel i księżna, zaczęły się do niego zbliżać. Popiel chwycił drugi oszczep. Wymachując nim nad głową, krzyczał z radości. Był przekonany, że lada moment zada kulejącemu rogaczowi śmiertelny cios.

Wtem ścieżka raptownie się urwała i jeleni oraz ścigający go ludzie znaleźli się na obszernej owalnej polanie, otoczonej wałem z rzadka stojących drzew. Na środku tej leśnej łąki znajdował się ciemny drewniany posąg, wysoki na trzy metry, przedstawiający... czarnego jelenia. U stóp rzeźby siedział starzec z długimi siwymi włosami, które sięgały mu niemal do pasa. Ubrany był w białą szatę przepasaną wąskim plecionym rzemieniem, a w ręku dzierżył gruby, dwumetrowy kostur.

Drewniana figura okazała się pogańskim bożkiem, a długowłosa mężczyzna był jego kapłanem.

Kulejący jeleni dobiegł do siedzącego człowieka i zatrzymał się, dysząc chrapliwie. Kapłan powoli wstał i opierając się na kosturze, swoimi wyblakłymi szarymi oczyma popatrzył na nadciągającego Popiela z małżonką. Ci wstrzymali konie kilka metrów przed rzeźbą i ze zdumieniem spojrzeli na odzianego na biało człowieka. Nigdy jeszcze nie byli w tym rejonie puszczy i nie mieli zielonego pojęcia, że znajduje się tu polana z drewnianym cielcem.

Tymczasem ogary, wściekle ujadając, zamierzały rzucić się na stojącego tuż obok posągu, zmęczonego ucieczką jelenia. Zanim jednak zdążyły do niego dobiec, siwowłosa starzec z zadziwiającą zręcznością i szybkością zdzielił kosturem w łeb najpierw jednego, a potem drugiego psa. Rozległy się dwa głuche łupnięcia i oba ogary z rozwalonymi czaszkami legły martwe u stóp kapłana.

Popiel i Gerda w osłupieniu obserwowali tę zaskakującą scenę. Starzec zdawał się niewzruszony zabiciem psów, stał spokojnie, wspierając się oburącz na kosturze. W końcu Chwostek nie wytrzymał i ryknął do niego wściekle:

– Coś ty zrobił, stary grzybie?! Zamordowałeś moje najlepsze ogary!

– Musiałem to uczynić, chciały one bowiem zagryźć Świętego Czarnego Jelenia, który jest bogiem czczonym przez ludzi z podleśnych wiosek – odrzekł kapłan stanowczym, lekko ochrypłym głosem.

– Co ty bajdurzysz?! – zawołał Popiel. – Ja ci tu zaraz dam dziesięć świętych jeleni! Za zabicie moich psów zostaniesz srogo ukarany! Czy ty wiesz, kim ja jestem?!

Starzec wbił w księcia swoje wyblakłe oczy, po czym odparł:

– Tyś jest Popiel, a to twoja żona Gerda. I nie groź mi, panie, bo wcale się ciebie nie boję. Radzę wam: odjedźcie stąd jak najprędzej, zanim rozgniewacie boga, Świętego Czarnego Jelenia.

Słowa te wzburzyły księżną. Ściągając z ramion łuk, z wściekłością wycodziła przez zęby:

– Zaraz ci pokażę, co znaczy dla nas twój święty bóg!

To rzekłszy, wyszarpnęła z kołczana strzałę i założyła ją na cięciwę. Błyskawicznie napięła łuk i nawet specjalnie nie mierząc, wystrzeliła. Strzała pomknęła z drżącym świstem i utkwiała w gardle czarnego rogarza, przeszywając je na

wylot. Jeleń stęknął, zacharczał i ciężko runął na trawę. Wokół jego głowy, ozdobionej imponującym porożem, szybko zaczęła się rozlewać purpurowa kałuża krwi.

W tym momencie na polanę wjechał łowczy Bramin. Z podziwem spojrzął na Gerdę, która tak zdecydowanie rozprawiła się z ogromnym jeleniem, uśmiercając go jedną strzałą.

– No i już jest po twoim bogu, starcze! – krzyknęła księżna do kapłana.

Długowłosey starzec zadrżał od stóp do głowy, a z jego gardła dobył się okrzyk zgrozy.

– Jesteś dzisiaj królową łowów, moja luba! – Popiel pochylił głowę przed żoną. Jej wargi ułożyły się w okrutny, pełen triumfu uśmiech. Uwielbiała zabijać zwierzęta, a krew uchodząca z ich śmiertelnych ran sprawiała jej prawdziwą rozkosz...

– Coś uczyniła, nieszczęsna?! – krzyknął gromko kapłan, wyrażając księżnej kosturem. – Sprowadziłaś nieszczęście na swoją głowę! Bóg – mówiąc to, dramatycznym gestem wskazał drewniany posąg – nie wybaczy ci tego świętokradczego czynu!

– Milcz, stara fujaro! – Popiel pogroził kapłanowi oszczepem.

– Ty sam milcz, przeklęty Chwostku! – odciął mu się mężczyzna w bieli.

Popiel, usłyszawszy obraźliwe przewisko, w jednej sekundzie pobladł jak ściana. Niewiele myśląc, zgrzytnął wściekle zębami i z całej siły cisnął oszczepem. Dzida wbiła się głęboko w pierś kapłana. Starzec zachłysnął się, zakołysał i wypuściwszy kostur z rąk, bezwładnie osunął się na trawę. Leż obok martwego jelenia, a wypływająca z jego rany krew mieszała się z posoką rogacza.

– Dostałeś, co ci się należało! – wrzasnął książę do ciężko rannego kapłana.

Gerda przez chwilę spoglądała obojętnie na skrwawionego starca, następnie rzekła do Popiela:

– Niegodne jest, aby na terenie twojego księstwa znajdował się ten ohydny drewniany cielec. – Gwałtownym ruchem wskazała na rzeźbę jelenia. – Tego bożka twoi poddani poważają bardziej niż ciebie. Należy go czym prędzej zniszczyć!

Książę potakująco pokiwał głową, po czym skinął na łowczego.

– Słyszałeś, co powiedziała księżna? Zlikwiduj tego paskudnego bożka!

Bramin prędko zsiadł z konia. Pochwyciwszy zatknięty przy siodle topór, zbliżył się do posągu czarnego jelenia.

Konający kapłan patrzył na mężczyznę z przerażeniem w oczach.

Bramin, biorąc szerokie zamachy, począł rąbać drewnianą rzeźbę. Prysały spod ostrza cieńsze i grubsze drzazgi, z hukiem odpadały kawały drewna. Łowczy nie mało się natrudził, zanim całkowicie porąbał pogańskiego bałwana. Kiedy już z posągu pozostała kupa drewna, Popiel, Gerda i Bramin, który zarzucił na grzbiet swojego konia ustrzelonego przez księżnę jelenia, śpiesznie opuścili

polanę. Oddalając się, żadne z nich nie skierowało wzroku w stronę dogorywającego starca.

Kapłan, zbierając resztki sił, uniósł pięść i patrząc za odjeżdżającymi, wycharczał:
 – Bądź przeklęty, Chwostku, bądź przeklęta, germańska czarownico! Oboje zginiecie w straszliwych męczarniach! Zginiecie...

Tu starzec raptownie urwał, a z jego ust popłynęła cienka strużka krwi. Wzniesiona ręka bezwładnie opadła. Mężczyzna zadrżał konwulsyjnie, po czym wyprężył się i znieruchomiał. Oddał ducha swojemu pogańskiemu bogu.

Po lesie poniosły się echem słowa jego klątwy i straszliwej przepowiedni...

* * *

W sali biesiadnej zamku księcia Popiela znowu odbywała się huczna uczta. Chwostek z Gerdą zajmowali najwyższe miejsca u szczytu stołu, zastawionego różnymi mięsami, owocami i trunkami. Razem z nimi biesiadowało kilkoro dworzan i dwórek oraz chudy rycerz przybyły z Niemiec. Nosił imię Rudolf i był jednym z kuzynów Gerdy. Od paru dni gościł w Kruszwicy.

Biesiadnicy byli już dobrze podchmieleni, gdy nagle drzwi sali się rozwarły i do środka wszedł łowczy Bramin. Towarzyszyło mu dwóch leśniczych prowadzących wychudzonego, jasnowłosego wieśniaka w podartej odzieży, ze związanymi z tyłu rękami. Łowczy przybliżył się do Popiela, złożył mu głęboki ukłon i rzekł:

– Wybacz, książę, że osmielałem się przeszkadzać, ale ten oto chłop bezprawnie upolował w twoim lesie dzika. Wykopał dół i zamaskował go połamanymi gałązkami, liśćmi i mchem. Do dołu wpadł młody warchlak. Moi leśniczy przyłapali tego człowieka na gorącym uczynku, gdy wyciągał dzika z pułapki.

Popiel poczerwieniał na twarzy, łysnął na wieśniaka zamglonymi od przepicia oczami, po czym grzotniej pięścią w stół, ryknął:

– Ty zawszony chamie! Nie wiesz, że wszelka zwierzyna w puszczy należy do mnie?!

– Wiem, panie – pokornie odparł związany chłop – wybacz mi, ale mam dużo dzieci... w chacie panuje głód. Od dłuższego czasu nie jemy mięsa. Dlatego poszedłem do lasu...

– Zawrzyj gębę! – wrzasnął na wieśniaka Chwostek. – Dopuszciles się wielkiej zbrodni i zostaniesz za to ukarany! Braminie! – Popatrzył ostro na łowczego. – Dopilnujesz, aby tego draba jutro w samo południe powieszono na dziedzińcu zamkowym!

– Słusznie, mój mężu, słusznie! – Gerda z aprobatą spojrzała na Popiela.

Łowczy zagryzł wargi, przestąpił z nogi na nogę, wreszcie odezwał się z wahaniem:

– Książę, a może... może wystarczy uciąć mu prawą dłoń...

– Rzekłem: powiesić! – Popiel ponownie wyrzucił pięścią w stół. Gerda zaś, patrząc na Bramina wężowym wzrokiem, syknęła:

– Witam cię, panie...

Czarne kulki jej oczu spoczęły na twarzy Mirka. Ten, skłoniwszy dwornie głowę, odpowiedział:

– I ja cię witam, piękna pani. Jestem Mirosław, brat Kazimierza.

Jeszcze tego samego wieczoru na bobolickim zamczysku odbyła się uczta. W obszernej komnacie, oświetlonej jasno świecami i pochodniami, przy suto zastawionym stole zasiedli Kazimierz, Sulejka i Mirko. Śliczna czarnowłosa księżniczka zajęła miejsce między braćmi. Usługiwało im kilku służących w żółtych liberiach.

Każko, raz po raz popijając wyborne wino z wielkiego kielicha, ze swadą opowiadał bratu o swoich wojennych przygodach. Mirko słuchał go z wielkim zainteresowaniem, rzucając od czasu do czasu ukośne spojrzenia na Sulejkę. W pewnej chwili dziewczyna także zerknęła na niego, a wtedy serce młodzieńca uderzyło niczym młot. Nie wiedział, że również serce tatarskiej księżniczki w tym momencie przyspieszyło swój rytm...

W połowie uczty Kazimierz odezwał się do brata:

– Mój drogi Mirku, połowa łupów, jakie przywiozłem, należy do ciebie. Podzieliłbym między nas i Sulejkę, lecz musiałbym przeciąć ją na pół. Dlatego, aby było sprawiedliwie, będziemy ciągnąć o nią losy.

– Co?! – wykrzyknął zdumiony Mirosław, czując nagły ucisk w gardle.

– Wyciągniesz wygrany los, Sulejka należy do ciebie – oznajmił z uśmiechem Każko.

Następnie nakazał jednemu ze służących przynieść skórzany worek oraz dwie szklane kule, białą i czerwoną. Wrzuciwszy kule do worka, rzekł do brata:

– Biała kula oznacza Sulejkę. Ciągnij, Mirku...

Mirosław wolno wsunął do worka drżącą rękę. Po kolei muskał palcami gładkie kule. Ach, jak bardzo, ale to bardzo pragnął wyciągnąć białą!

Księżniczka wstrzymała oddech: ona także życzyła Mirkowi wygranej...

Dłoń młodzieńca wysunęła się z worka. Jego palce konwulsyjnie zaciskały się na kuli... czerwonej.

Sulejka przypadła Kazimierzowi.

Kilka tygodni później została jego żoną.

* * *

Mirosław bardzo zazdrościł bratu pięknej żony. Cierpiał, cierpiał okrutnie, albowiem od pierwszego wejrzenia zakochał się w Sulejce bez pamięci. Nic go już nie cieszyło – ani posiadane bogactwo, ani zamek w Mirowie, ani bez troskie życie, jakie dotychczas pędził. Snuł się tylko z kąta w kąt po swoim zamczysku albo wałęsał się konno po polach, łąkach czy lasach. I ciągle marzył o przecudnych czarnych oczach mongolskiej księżniczki.

Sulejka zaś marzyła o nim. Bo Mirosław nie wiedział, że i on zapadł jej w serce, w przeciwieństwie do Kazimierza, który został jej mężem, a którego wcale nie kochała. Całą duszą miłowała jego brata.

Zdarzyło się któregoś dnia, że Sulejka wybrała się na konną przejażdżkę do lasu. Towarzyszyło jej dwóch rosłych, mocno zbudowanych służących. Księżniczka przez jakiś czas jeździła po ścieżkach, drózkach i duktach, aż w końcu zmęczona postanowiła wrócić do zamku.

Cwałowała właśnie szeroką leśną dróżką, gdy nagle kilkanaście metrów przed nią z bocznej ścieżki wyjechał jeździec na karym koniu. Sulejka wydała krótki okrzyk i wstrzymała w miejscu śnieżnobiałą klacz. Poznała Mirosława.

Zaskoczony młodzieniec zatrzymał się na środku dróżki i wpił w dziewczynę rozgorączkowane, błyszczące oczy. Czarne włosy kaskadami spływały jej na plecy. Ach, jak wspaniale wyglądała w ciemnozielonym stroju myśliwskim z ozdobionym czerwonym piórem kołpakiem na kształtnej, małej głowce!

– Mirko!

– Sulejka!

Dwa radosne okrzyki zlały się w jeden.

Mirosław pośpiesznie zeskoczył z konia i podbiegł do wierzchowca księżniczki. Skłonił się przed nią głęboko, po czym rzekł stłumionym, wzruszonym głosem:

– Sulejko, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Poświęć mi chwilę, proszę...

– Dobrze, Mirku – cicho odparła młoda kobieta.

Mężczyzna pomógł jej zejść z siodła. Zostawiwszy konie służącym, udali się razem pieszo na pobliską polankę.

Przystanęli przy starej sośnie rosnącej samotnie na środku leśnej łączki. Mirosław westchnął głęboko, popatrzył księżniczce prosto w oczy, po czym zaczął:

– Sulejko, jesteś żoną mojego brata. Brata, którego bardzo kocham. Jednakże... jednakże jeszcze bardziej kocham ciebie. Miłuję cię ponad wszystko, co mam na tym świecie, miłuję cię ponad życie i będę miłował aż do śmierci, która oby jak najrychlej nastąpiła, bo bez ciebie, Sulejko, życie nie ma dla mnie żadnej wartości...

Młodzieniec zamilkł i nisko pochylił głowę, aby kobieta nie zobaczyła łez, które zalśniły w jego oczach. Wtem usłyszał cichy, melodyjny głos Sulejki:

– Mirku, pokochałam cię w tej samej chwili, gdy tylko ujrzały cię moje oczy. Okrutny przypadek sprawił, że zostałam żoną Kazimierza, lecz nie do niego należy moje serce. Moje serce należy do ciebie, Mirku. Nikogo więcej oprócz ciebie nie będę miłowała...

Piękna tatarska księżniczka wyciągnęła do młodzieńca obie ręce. Jemu zaś się zdawało, że na oścież otwarły się przed nim bramy raju. Czy dobrze słyszy?! Czyż ma uwierzyć swojemu szczęściu?! Szczęściu tak nieoczekiwanemu, a tak upragnionemu! Myślał, że teraz w środku puszczy śni cudowny sen, który prysnie





zawierające upiększającą maść. Mag Ambrozjusz zapewnił ją, że oba specyfiki wystarczą jej co najmniej na rok. Po tym czasie, jeśli będzie chciała, może uzupełnić zapas.

Zjadłszy obfitą kolację, Adela wezwała do siebie zaufanego sługę, Mocarnego Jana. Mężczyzna wsunął się do komnaty z niezbyt tęgą miną. Kobieta zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem, po czym zapytała:

– No i co tam? Jak się dziś sprawowała nasza Grzymisława?

Sługa przestąpiwszy z nogi na nogę, odparł niepewnie:

– Dziewczyzna nie była posłuszna twoim poleceniom, pani...

– Jak mam to rozumieć?! – Macocha zmarszczyła brwi.

– Grzymisława samowolnie, nikomu nic nie mówiąc, opuściła zamek – oznajmił z zakłopotaniem Jan. – Zrobiła to zaś tak chytrze, że nawet ja nie zauważyłem, kiedy zniknęła.

– Jednym słowem, wyprowadziła cię w pole! – prychnęła Adela, a potem popatrzywszy na Mocarnego, dodała drwiąco: – Starzejesz się, mój Janie, starzejesz...

– Poszedłem za nią i ją odnalazłem – prędko powiedział sługa. – Była w lesie.

– W lesie?! – zdziwiła się macocha. – A cóż ona tam robiła?!

Jan na krótki moment zawahał się z odpowiedzią. Czyż miał wyznać Adeli, co zdarzyło się na polance? Jak haniebnie został on, zwany Mocarnym, potraktowany przez rycerza Blizbora? Nie! Nawet nie wspomni o swoim młodym pogromcy... Odezwał się więc tymi słowy:

– Grzymisława zbierała kwiatki na leśnej łące i plotła z nich wianek. Później zaś... powróciła do zamku.

Macocha przez chwilę milczała, następnie powiedziała ostrym tonem:

– To się nie może więcej powtórzyć. Od jutra będziesz miał oko na Grzymisławę od rana do wieczora.

– Tak jest, pani. – Jan kornie pochylił głowę.

Pół godziny później Adela, uprzedziwszy służących, aby jej pod żadnym pozorem nie przeszkadzano, udała się do swojej sypialni. Zamknęła za sobą starannie drzwi i szybko przebrała się w nocną koszulę. Potem drżącymi z emocji rękoma rozwiązała skórzany woreczek i wyjęła z niego podłużną flaszkę z żółtawym płynem oraz czarne prostokątne pudełko.

Usunąwszy z cienkiej szyjki szklany korek, powoli przytknęła butelkę do warg. Połknęła pięć kropel odmładzającego eliksiru. Zamknęła flakonik i z powrotem wsunęła go do mieszka.

Teraz zajęła się pudełkiem. Uniosła wieczko, po czym nasmarowała twarz znajdującą się wewnątrz jasnobrazową maścią, okropnie cuchnącą. Skóra zapiekła ją, jakby była przypalana żywym ogniem. Lecz już po kilku sekundach straszliwy gorąc ustąpił, zaś twarz owionął przyjemny chłodek.

Adela przejrzała się w zwierciadle.

– Teraz już zawsze będę młoda i piękna – powiedziała z szerokim uśmiechem na ustach.

Z tym głębokim przeświadczeniem położyła się do łóżka.

Rano ostro zbesztła Grzymisławę za samowolne oddalenie się z zamku. Dziewczyna przyjęła wymówki macochy ze stoickim spokojem. Nie patrzyła jednak na Adelę z lękiem, jak dotychczas bywało. W oczach dziewczyny migotał ironiczny błysk, a na wargach zaigrał pogardliwy uśmiech. A gdy macocha skończyła swoją groźną przemowę, Grzymisława, nic nie mówiąc, odwróciła się i wyszła z komnaty.

* * *

Nadeszła sobota. Około północy Blizbor wyszedł ze swojego zamku w towarzystwie służącego Marcina. Sługa był niezmiernie zdumiony tą nocną wycieczką, w której na polecenie pana musiał uczestniczyć. Rycerz szedł pierwszy, trzymając za uzdę karego ogiera. Na wpół zarośniętą ścieżką wiodącą wśród kilku niewielkich zagajników doszli do jeziora. Stanęli na brzegu przed szeroką czarną wstęgą bagien. Z lewej i prawej strony moczarów cicho szemrały wody rozlewiska.

Blizbor spojrzał w lewo, w stronę zameczku na Drawskiej Górze. Daleko, daleko dojrzał migoczący w nocnych ciemnościach pomarańczowy punkt. Młodzieniec ucieszył się. Grzymisława nie zapomniała zapalić w swoim oknie światła. Może więc spokojnie do niej jechać.

Odwróciwszy się, rzekł do drzemiącego na stojąco, opartego o zad konia sługi:

– Ej, staruszk, nie śpij, tylko posłuchaj mnie uważnie.

– Nie śpię, panie, nie śpię... – ocknął się Marcin. – I słucham, słucham.

– Teraz pójdziesz do zamku, ale za dwie godziny powrócisz w to miejsce z latarnią, którą zaświecisz i postawisz tutaj, na brzegu – poinstruował sługę Blizbor.

Marcina lekko zdziwiło to polecenie, ale posłusznie odparł:

– Zrobię, jak sobie życzysz, panie.

Rycerz wsiadł na konia i skierował go na rozdzielającą bagno wąziutką, w miarę suchą ścieżynkę.

– Panie, co ty robisz?! – zawołał wystraszony Marcin.

– Chcę tą dróżką przejechać przez bagna – odrzekł rycerz.

– Panie, nie czyńcie tego! – zawołał strwożony sługa. – Jest ciemno, a dróżka wąska! Jeden fałszywy krok twojego konia, a utopisz się w tym błocku!

– Nie bój się, staruszk, nic mi się nie stanie – uspokoił go młodzieniec. – Prowadzić mnie będzie... gwiazda przewodnia.

Z tym zagadkowym dla Marcina oświadczeniem Blizbor wjechał na ścieżkę. Ruszył przed siebie stępa. Wpatrywał się w świecące na wprost dalekie światelko w oknie Grzymisławy. Od czasu do czasu spoglądał jednak na boki, na ziejącą

czernią, złowrogą błotną płaszczyznę rozciągającą się po obu stronach dróżki. Po jakimś czasie dotarł bezpiecznie do podnóża Drawskiej Góry. Zjechał ze ścieżki na brzeg. Zsiadł z konia, którego przywiązał do najbliższego drzewka. Następnie począł piąć się w górę dość stromym zboczem. Wreszcie znalazł się przy zamkowym murze.

Okno, w którym świecił kaganek, znajdowało się cztery metry powyżej.

– Grzymisławo... Grzymisławo... – z cicha zawołał młody rycerz.

W oknie zamajaczyła dziewczęca postać.

– Blizborze, tyś to jest? – dobiegł młodzieńca podniecony szept.

– Jestem, Grzymisławo, tak jak obiecałem.

– Jak wejdiesz do mojej komnaty, skoro okno jest tak wysoko? – zatroskała się panna.

– Dla zakochanego nie ma rzeczy niemożliwych – uśmiechnął się młodzieniec.

Cóż dla niego znaczyły cztery metry?! Czyż swego czasu nie wdrapywał się po stromych, wysokich zboczach francuskich czy włoskich gór?!

Blizbor zręcznie i szybko, opierając ręce i nogi na wystających z muru kamieniach, wspiął się do otwartego okna, przez które wskoczył do komnaty. W blasku stojącego na parapecie kaganka ujrzał zarumienioną Grzymisławę z błyszczącymi szczęściem oczyma.

Padli sobie w objęcia...

Dokładnie dwie godziny później rycerz tą samą drogą, którą dostał się do komnaty, spuścił się po zewnętrznej ścianie zamku w dół. Zbiegł ze wzgórza i dosiadł pozostawionego na brzegu jeziora konia. Z niepokojem spojrzał w ciemność. W oddali zółciła się jaskrawa kropelka. Staruszek Marcin wykonał polecenie swojego pana.

Rycerz skierował wierzchowca na ścieżkę i wpatrując się w dalekie światło, bezpiecznie pokonał bagienne topiele. Zjechał z dróżki na brzeg w miejscu, gdzie stała na ziemi zapalona latarnia. Stary sługa siedział obok w kucki i chrapał w najlepsze. Blizbor zsiadł z konia i potrząsnął śpiącego mężczyznę za ramię.

– Obudź się, Marcinie, czas nam wracać do domu.

Staruszek zerwał się na równe nogi. Zatrzepotał powiekami, po czym spojrzał na młodzieńca.

– A, już jesteś, panie. Bogu niech będą dzięki, że cię widzę całego i zdrowego.

– Dziękuję ci, że na mnie czekałeś – rzekł Blizbor. – A teraz zabierz latarnię, wracamy do zamku.

* * *

Macocha Adela zaczęła urządzać sobie piesze spacerunki po okolicy. Wprawiała tym zamkową służbę w niemałe zdumienie, albowiem do tej pory raczej nie pokonywała zbyt długich dystansów na własnych nogach. Wyjątkiem była jedynie

wyprawa do lasu, do chaty Maga Ambrozjusza. A teraz każdego ranka Adela, odświętnie wystrojona, ze starannie u fryzowanymi włosami opuszczała zamek i wracała dopiero na obiad. Jaki cel miały te wędrówki?

No cóż, sprawa miała się tak, że macocha usilnie pragnęła spotkać młodego rycerza Blizbora. Zamierzała olśnić go swoją urodą i nawiązać z nim bliższy kontakt. Była przekonana, że pójdzie jej to dość łatwo. Niestety, grubo się przeliczyła... Wprawdzie podczas swoich spacerów kilkakrotnie spotkała Blizbora, lecz on tylko uklonił jej się grzecznie i szedł dalej. Nie miał najmniejszego zamiaru rozpoczynać z Adelą rozmowy. Raz nawet spojrzął na nią z wyraźną niechęcią. Wielce to macochę gniewało, ale nie rezygnowała ze swoich planów i ciągle szukała kontaktu z młodym rycerzem.

Tymczasem Blizbor każdej nocy odwiedzał swoją ukochaną Grzymisławę, która zapalała w oknie kaganek wskazujący młodzieńcowi drogę przez bagienne rozlewiska. Kochankowie spędzali ze sobą w komnacie dziewczyny bardzo radosne, pełne miłości chwile. Później rycerz wracał ścieżką przez moczary, kierując się na latarnię zaświeconą przez wiernego sługę Marcina.

Tak upłynęły dwa miesiące. Nadeszła rześka, mieniąca się barwami liści jesień. Blizbor ciągle składał Grzymisławie nocne wizyty. Podczas jednego z gorących spotkań, gdy się żegnali, młody rycerz powiedział:

– Moja luba, jutro przyjadę do ciebie po raz ostatni.

– Po raz ostatni? – powtórzyła zaskoczona i wylękniona dziewczyna. – Jak to? Nie będziemy potem już więcej się spotykać?

Blizbor, lekko się uśmiechnąwszy, odparł:

– Pojutrze, w niedzielę, w samo południe przyjadę do twojego zamku. Pójdę do twojej macochy i powiem jej, że biorę sobie ciebie za żonę.

– O Boże! – przerwała mu uradowana Grzymisława. – Naprawdę?! Naprawdę chcesz, abym została twoją żoną?!

– O ile ty zechcesz mnie za męża. – Młodzieniec badawczo spojrzął w oczy panny. Ona zaś, zarzucając mu ręce na szyję i z całej siły przytulając się do jego piersi, wyszeptala ze łzami szczęścia w oczach:

– Chcę... oczywiście, że chcę...

Lecz po chwili twarzyczka jej się zachmurzyła i rzekła ze smutkiem:

– Boję się, że macocha nigdy nie zgodzi się na nasz ślub.

Rycerz zmarszczył brwi.

– Pani Adela nie ma tu nic do powiedzenia. Nie może nam się sprzeciwić. Będzie tak, jak ja chcę!

* * *

W sobotę Grzymisława jak każdej nocy wystawiła w uchylonym oknie zapalony kaganek. Potem usiadła na krześle i wpatrzyła się w migoczący, pomarańczowy





Pocałunek panny wodnej, autorstwa Jerzego Buczyńskiego, to zbiór fantastycznych opowieści odwołujących się do dawnych podań oraz legend. Dzięki tej fascynującej lekturze poznamy wiele ciekawych, intrygujących i barwnych postaci, takich jak wiedźma Ksantypa, straszliwy Duch Gór, diabły Asmodeusz i Zarostros, ale także piękna Grzymistawa, tatarska księżniczka Sulejka czy waleczny rycerz Blizbor. Co ciekawe, nawet negatywni bohaterowie – demony i upiory – nie zawsze okazują się stworzeniami po prostu złymi. Dlaczego? Sprawdźcie sami.

Ponadto, tym, co wyróżnia książkę spośród innych publikacji tego typu, są wyjątkowe ilustracje, autorstwa Magdaleny Boffito, będące doskonałym uzupełnieniem dla wciągającej, pobudzającej wyobraźnię treści.